

BIBLIOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 108

KAROL DICKENS

RYSZARD WHITTINGTON
I JEGO KOT

OPRACOWAŁA C. N.



WARSZAWA ☉ NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW ☉ G. GEBETHNER I SPÓŁKA ☉ 1909

Cena 6 kop., 16 hal.

BIBLIOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

	kop.	hał.
1. Anczyc Wł. L. Zółw i Makolągwa, powiastka . . .	6	— 16
2. Amicis E. Moi koledzy	10	— 26
3. — Maly patrijota	6	— 16
4. Chrzaszczewska J. Szare kaczatko. — Duże i Małe . . .	8	— 20
5. — Królestwo grzybów. — Tucia	6	— 16
6. — Bal u pani Żaby — Czarodziejska kukulka . . .	8	— 20
7. Andersen H. Historia roku. — Dziewczynka z za- palkami	6	— 16
8. — Brzydkie kaczatko	6	— 16
9. — Ropucha. — Krasnoludek	6	— 16
10. Niewiadomska C. Za późno	6	— 16
11. — Lat temu 900	6	— 16
12. — Słoneczko. — Na świeżem sianku	6	— 16
13. Kipling R. Bracia Mowglego	6	— 16
14. — Rikki-tikki-tavi	6	— 16
15. Zaleska M. J. Obłoczek. — Przygody rodziny Jeżów . . .	5	— 13
16. — Wędrowka Celinki. — Wieszcza okruszyn . . .	6	— 16
17. — Wojtuś. — Michałek. — Podejrzenie	6	— 16
18. Daudet. Obłężenie Berlina	6	— 16
19. — Koza ojca Bartłomieja. — Ze wspomnień ku- ropatwy	6	— 16
20. Kraszewski J. I. Króliewicz Bolko	5	— 13
21. Niewiadomska C. Wnuczka Kazimierza	5	— 13
22. Sienkiewicz H. Pod Zbarażem (z pow. «Ogniem i Mieczem»)	12	— 32
23. Teresa Jadwiga. Rycerz Błękitny	10	— 26
24. — Słowianie: uroczystości i obrzędy	6	— 16
25. — Bolesław Chrobry	6	— 16
26. Bukowiecka Z. Zalew kopalni	6	— 16
27. — Legends górnicze	6	— 16
28. Warnkówna J. Wędrowka kwiatów	5	— 13
29. — Na łące — Amator jajecznic	6	— 16
30. Weryhówna M. Sierota. — Nad Wisłą. — Sikoreczka . . .	5	— 13
31. Szymanowska Z. Bez. — Scyzoryk. — Bicz	6	— 16
32. — Niewidomy. — Kraszanki	5	— 13
33. — Rodzina królików. — Muszka i pajak	5	— 13
34. Jachowicz St. Bajki i wiersze (wybór)	8	— 20
35. Chęciński Jan. Wybór wierszyków	6	— 16
36. Niewiadomska C. Bardzo dawno. — Królestwo skał . . .	5	— 13
37. — Przyjaciółki. — Waluś	6	— 16
38. — Bez przewodnika	8	— 20
39. Lenartowicz T. Zachwycenie	4	— 10

KAROL DICKENS

—♦♦♦—

RYSZARD WHITTINGTON I JEGO KOT

OPRACOWAŁA C. N.



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1909



127060/108

644 a 1985

W Londynie, stolicy Anglii, nad bramą więzienia Newgate od niepamiętnych czasów znajdowała się płaskorzeźba, przedstawiająca poważną osobę prezydenta miasta we wszystkich oznakach tej wysokiej godności, a u nóg jego bardzo poufale przytulonego kota.

Rzeźba ta nie stanowiła jedynej ozdoby starych murów, — były obok niej tarcze książąt i rycerzy, noszące różne godła, a nawet dostojniejsze od kota, zwierzęta, jak lwy albo konie, ludność jednak miejscowa upodobala sobie wizerunek burmistrza z kotem i o nim dziwne snuła opowieści. Wkońcu uznali wszyscy za rzecz pewną, iż historia czcigodnego prezydenta i jego wiernego kota należy do tych pięknych pamiątek przeszłości, które każdy powinien znać i uszanować.

Posłuchajmy więc, jak to było.

Dawno, niezmiernie dawno, bo w XIV. w. podczas krwawej i długiej wojny z Francją, prowadzonej przez króla Edwarda III. umarł strudzony w bojach znakomity rycerz, Wiljam Whittington, pozostawiając jedyne go syna Ryszarda opiece krewnych i przyjaciół.

Podobno oprócz syna pozostawił także w hrabstwie Lankaster i piękny majątek, mimo to wkrótce potem nieszczęśliwy sierota znalazł się sam, bez grosza i dachu nad głową, na szerokim gościńcu, prowadzącym w świat daleki i nieznany.

Miał lat 10, może 12, nosił nazwisko znanego i zasłużonego rycerza, więc choć mu głód dokuczał, a zniszczone suknie nie zabezpieczały bynajmniej od chłodu, pocieszał się nadzieją, że zle minąć musi, że znajdą się na koniec dobrzy ludzie, którzy mu dopomogą, aby wyrósł na użytecznego człowieka.

— Przecież nie popełniłem nic złego — myślał sobie — za cóż mieliby mnie wszyscy odepchnąć? — przecież spotkam uczciwych ludzi, którzy znali mego ojca.

Gdy tak rozmyślał, idąc wśród kurzawy, spostrzegł na drodze wóz, który go minął niedawno. Wóz, ciężko naładowany towarem, pochylił się na bok, a woźnica daremnie usiłował podnieść go i napowrót wsunąć na oś koło, które leżało na drodze.

Whittington pospieszył mu zaraz z pomocą, — był silny i roztropny, we dwóch dali sobie radę, a gdy wóz ruszył dalej, woźnica zapytał chłopca, gdzie idzie i czy nie mógłby mu nawzajem w czym pomódz.

— Pozwól mi usiąść na godzinę obok siebie, bo jestem bardzo zmęczony — rzekł Ryszard.

Tak jadąc, rozmawiali.

Whittington się dowiedział, że wóz jedzie do Londynu, i pomyślawszy nad tem, przyszedł do przekonania, że on też do Londynu udać się powinien. Bo i gdzież łatwiej może być o pracę? gdzież łatwiej spotkać którego z rycerzy, a może i samego króla?

Nie zwierzając się z trosk swoich przed obcym człowiekiem, powiedział mu jednak szczerze, iż on także pragnąłby dostać się do Londynu. Nie chce biednym koniskom przy czyniać ciężaru, i skoro trochę odpocznie, może iść pieszo za wozem, ale będzie mu milej w towarzystwie dobrego człowieka. Bo zresztą nie zna drogi.

Woźnica zgodził się chętnie. Wkrótce polubił Ryszarda i nie tylko pozwalał od czasu do czasu siadać dla odpoczynku na wozie, ale widząc go chętnym do każdej posługi, a zwłaszcza na popasach, gdzie trzeba było i konie pilnować i na wóz mieć baczne oko, sam mu zaproponował, iż będzie go żywił za pomoc.

Takim sposobem po paru tygodniach dostał się wreszcie chłopiec do Londynu.

— A do kogo przybyłeś? — zapytał życzliwie woźnica, gdy stanęli w gospodzie przed nocą.

— Do ludzi, których nie znam, a odszukać muszę — smutnie odpowiedział Ryszard.

Woźnica pokiwał głową.

— Prześpijże się na wozie — rzekł nakoniec, — a jutro przy śniadaniu pogadamy.

Ale »jutro« Whittington nie czekał śnia-

dania i uścisknąwszy rękę dobrego człowieka, biegł do miasta, zaledwie dzień zaczął się robić.

— Londyn! Londyn! — powtarzał sobie. — Król, rycerze! — Przybiegnę do nich i powiem, kto jestem. Powiem, że chcę być, jak ojciec, rycerzem, służyć ojczyźnie, walczyć obok króla.

I biegł. Ulice były jeszcze puste, ale powoli budziło się życie. Ach, jakież mu się wszystko zdawało wspaniałe! Jakie wysokie domy! Nigdy nie widział podobnych. Zatrzymywał się co chwila, patrzył na rzeźbione bramy, dziwne kształty, śpiczaste dachy, balkony, szeregi okien, sklepy. A kościoły! Zdumiewała go wielkość, piękność budziła zachwyt. Zdawało mu się, że w takiej świątyni Bóg niezawodnie wysłucha modlitwy. To też wstąpiwszy, modlił się gorąco.

Potem szedł dalej. Ludzi na ulicach było coraz więcej, ale nikt na niego nie zwracał uwagi.

A tymczasem biednemu chłopcu jeść się chciało. Do gospody jużby z powrotem nie trafił i nie śmiałby tam wrócić dla posilku, a głód dokuczać mu zaczął nie żartem.

W tak pięknych domach z pewnością mieszkają bogaci, dobrzy ludzie, cóżby dla nich znaczyło dać mu szklanekę mleka i duży kawał chleba, — gdyby tylko wiedzieli, że jest głodny.

Zatrzymywał się przed bramą tego lub innego domu, czekając, aż kto wyjdzie, zobaczy go, zaprosi. — I wychodzili ludzie, patrzyli

na niego, jak na kamień przy drodze, nikt o nic nie zapytał, czasem ktoś ofuknął.

Biedny chłopczyzna pobladł, zagasły mu oczy, zniknął z twarzyczki wyraz ożywienia, stracił śmiałość do ludzi i pełną otuchy nadzieję, że znajdzie tutaj pomoc.

Głód dokuczał nieznośnie, ścisnęło go w gardle, lecz nie mógł się rozplakać, oczy tylko zachodziły mu mgłą jakąś i nie widział wyraźnie, co go otaczało, nie wiedział sam, gdzie idzie.

Wtem obok niego rozległ się głosik dziecięcy:

— Panie! nic dziś nie jadłem! Jaśnie panie, grosik na kawalek chleba!

Obejrzał się, — to jakiś chłopiec w jego wieku wyciągał śmiało rękę do przechodniów i otrzymywał drobne miedziane pieniążki.

Whittington w pierwszej chwili wyciągnął także rękę bez namysłu, ale natychmiast oblał się rumieńcem, lzy stanęły mu w oczach, i uciekł zawstydzony.

Cóż miał robić jednakże? Był tak okropnie głodny!

Wąłęsał się po ulicach, wreszcie ujrzał przed sobą stragan przekupki z bułkami. Zatrzymał się bezwiednie. Żadna kamienica nie wydawała mu się w tej chwili tak piękną, jak te rumiane, pachnące bułeczki. Nie mógł od nich oczu oderwać.

Nagle wyciągnął rękę, spojrzał na przekupkę i poruszył ustami, choć nie wydał głosu.

Dobra kobieta musiała wyczytać cierpienie na twarzy dziecka, bo wzięła dużą bulkę i podała ją chłopcu, mówiąc życzliwie: — Z Bogiem.

Bulka zniknęła prędko, ale sierocie wróciła przytomność. Co on tu będzie robił? Podjąłby się najchętniej jakiego zajęcia, tylko że nic nie umie. Pragnąłby być rycerzem, tak, jak ojciec, ale jeśli nie można, sprzedawałby bulki, nosił pakunki, — gdyby kto zażądał.

Bo przecież nie zostanie żebrakiem?

Nadeszła noc. Ulice stały się puste i czarne. Gdzież tu szukać schronienia? Nie było wyboru: położył się na ławce pod murem jakiegoś domu i zasnął mimo chłodu i pustego żołądka.

Tak upłynęło dni kilka. Biedak nie wiedział zupełnie, co począć. Nie śmiał nikogo zaczepić o pomoc, a jednak wyciągał rękę, kiedy był bardzo głodny, przyjmował jałmużnę i potem gorzko płakał i żałował, że nie zwierzył się woźnicy, który był dla niego dobrym, albo poczciwej przekupce, która dała mu bulkę.

Nie mógł jednak trafić do nikogo: ulice mu się mieszały i wzrastał tylko podziw nad wielkością miasta, w którem jest tyle wspaniałych pałaców, a w żadnym niema kącika dla dziecka, co umiera z głodu i nędzy.

Czasem kładł się na schodach tych bogatych gmachów i długo myślał, zanim usnąć zdołał, o ludziach, którzy mają wszystkiego

tak wiele — i może nawet są dobrzy — a przecie — — —

Pewnego dnia deszcz chłodny zaczął padać przed wieczorem, Ryszard przemókł do nitki, głodny był bardzo, więc, aby zapomnieć o wszystkim, chciał się ułożyć do snu na kamiennej ławce pod jasno oświetlonem oknem jakiejs kuchni.

Zdawało mu się tu cieplej, bezpieczniej. Z otwartego okna płynęły zapachy wieczery i ciepło rozpalonego ogniska, gwar głosów i śmiech częsty świadczył, że tam ludziom wesoło.

Podniósł głowę i westchnął. Chciał zajrzeć do kuchni, ale w tej samej chwili w oknie stanęła kobieta, a ujrzawszy chłopca na ławie, ostro krzyknęła na niego, nazywając włóczęgą i grożąc, że go obleje ukropem, jeśli sobie natychmiast precz nie pójdzie.

— Niech się pani nie fatyguje — odrzekł Ryszard — pójdę sobie i bez ukropu. Przyzwyczaiłem się już do głodu i zimna, ale gorąca woda za drogo kosztuje dla takiego biedaka!

To mówiąc, westchnął znowu, skurczył się, wstał z ławki i zamierzał iść dalej, kiedy tuż nad oknem, na balkonie, dał się słyszeć głos jakiś, rozkazując mu, aby zaczekał.

Był to właściciel domu, pan Fitzwaren, kupiec, który usłyszał rozmowę Ryszarda z kucharką i sam zszedł na dół, aby rozpatrzyć tę sprawę.

Zawołano chłopca do kuchni, kazano mu się ogrzać i osuszyć przed płonącym ogniem, potem dostał miseczkę gorącej polewki i taki kawał chleba, że nie mógł go zjeść do ostatka; wreszcie zaprowadzono go do p. Fitzwaren, który wypytał o wszystko z uwagą i rozkazał go przyjąć do izby czeladniej na nocleg.

Chłopiec nie mógł uwierzyć swemu szczęściu. Leżąc w ciepłej izbie, na sienniku, przykryty derką, wyobrażał sobie, że się dostał chyba do raju. Jakże tutaj przyjemnie i wygodnie! Cóż to za dobrzy ludzie! Ach, żeby tak spać codziennie, na takim sienniku, w ogrzanej izbie, po sutej wieczerzy! — Czyż może być na świecie większe szczęście?

Pewnie i jutro dadzą mu śniadanie, zanim ten dom opuści, gorące śniadanie, jaki krupnik albo polewkę, — to dopiero specjały! — Ach, jakże dawno nie jadł gotowanej strawy!

Rzeczywiście, nazajutrz dano mu śniadanie, a potem rozkazano iść do sklepu, gdzie ujrzał p. Fitzwaren przy biurku, w dużym, ciemnym pokoju, zawałonym pakami towarów.

— Powiedzże mi, co umiesz i co możesz robić? — spytał pocziwy kupiec, który zapragnął szczerze dopomóc sierocie. — Dałbym ci zajęcie, jeśli chcesz pracować i jeśli się zdasz na co.

Whittington chciał pracować, zapewniał gorąco, że starać się będzie nauczyć wszystkiego i wszystko robić jak najlepiej, ale za-

razem przyznawał się, że nic nie umie i nie wie, do czego się przyda.

Kupiec wziął go na próbę: dobre chęci to bardzo wiele, zobaczymy, co się okaże.

Okazało się, że Ryszard gotów jest służyć wszystkim i spełniać, na co tylko pozwolą mu siły. Nosił paczki i listy, pakował towary, palił w piecach, nosił wodę dla kucharki, zamiatał pokoje i schody, zapalał lampy i oczyszczał je starannie, chodził na targ po drzewo i warzywa, do rzeźnika po mięso, czyścił dla państwa suknie i obuwie, słowem był do wszystkiego, a choć w kuchni najczęściej nazywano go darmozjadem i próżniakiem, polubił go sam kupiec. Wkrótce okazało się jeszcze przypadkiem, że umie czytać i pisać, wzięto go więc do kantoru, gdzie najwięcej miał odtąd czynności, a pracując gorliwie, uczył się zarazem wszystkiego, co mu później w życiu mogło być potrzebne.

Czuł się teraz bardzo szczęśliwy: pracować musiał ciężko, ale żebrać nie potrzebował, nie był głodny, miał dach nad głową i przywiązał się do tych, którym służył, wywdzięczając się za życzliwość, którą mu okazywali.

Pewnego dnia zajęty był bardzo w kantorze, malując czarną farbą adresy na pakach, kiedy usłyszał płacz i krzyk w ogrodzie. Wybiegli co tchu wszyscy, i on także. Co się stało?

To mała, ośmioletnia Alicja Fitzwaren zanosila się od płaczu, bo jej ulubiona papuga

uciekła z klatki, i siedząc prawie na czubku wysokiej topoli, śmiała się i chichotała, wykrzykując różne wyrazy i żartując sobie z całej awantury, której była przyczyną.

Starano się zwabić ptaka, ale to nie pomagało. Naturalnie, jeśli ucieknie, stanie się pastwą chłodu lub jastrzębia. Alicja wie o tem dobrze, to też rozpacza głośno, i nie można jej uspokoić.

Wtem mały Ryszard wspina się na drzewo, opiera na gałęziach, obejmuje pień nogami z całej siły i szybko posuwa się w górę.

Służba oniemiała.

— Kark skreći — szepczą cicho — gdzie człowiekowi piąć się tak wysoko!

— Daj pokój, chłopcze — przemówił kupiec dobrotliwie — spadniesz, niech lepiej ptaka lichu bierze.

Ryszard nie odpowiada, ani się ogląda, wspina się coraz wyżej, już go ledwo widać. Wszyscy dech zatrzymują.

Nagle uchwycił papugę za skrzydła. — Na dole rozległ się okrzyk radości — i znowu cisza. — Teraz trudniej mu schodzić: jedną rękę zajęta ma ptakiem, który go dziobie, krzyczy, broni się i szarpie.

Zszedł jednakże szczęśliwie i podał papugę Alicji, która nie chciała jej dotknąć, ażeby nie wyrwała się z małych jej rączek, — więc skakała tylko z radości, klaskała w dłonie, a chcąc się odwdzińczyć, dała Ryszardowi no-

wiuteńskiego srebrnego szylinga, który był jej własnością.

Gdy się wszystko uspokoiło, Ryszard zaczął rozmyślać o tem, co sobie kupi za tego szylinga. — Szyling jest to srebrna moneta angielska wartości paru złotych, — nie wielkiego za te pieniądze nie dostanie. A zresztą — czego mu teraz potrzeba? Ma co jeść, gdzie się przespać, jakie takie ubranie —

Nagle przyszło mu na myśl, że w izbie, gdzie sypiał, niesłychanie wszystkim dokuczały szczury. Nietylko wyprawiały takie harce, że budziły piskiem i bieganiem, ale niszczyły odzież, a nieraz kąsały boleśnie. Radzono nad tem często, jakby z nimi rozpocząć wojnę, i wszyscy godzili się na to, że bez kota się nie obejdzie. — Ale skądże wziąć kota?

Ktoś mówił, że w sąsiedztwie ma jeden staruszek tęgiego kociaka, ale darmo go nie odda. A możeby go sprzedał za szylinga?

Pobiegł Ryszard wieczorem, aby się dowiedzieć, czy można kupić kota, i przyniósł go z sobą, ale się dobrze żdźwigał.

Kociak był wielki, mocny, oczy miał zielone, a takie świejące, że w ciemności błyszczwały jak lampki. Humoru nie brakowało mu także, a nadewszystko lubił igrać ze szczurami. To też zaczęły się teraz gonitwy! Kot rósł, tył, wyglądał pysznie, futro na nim lśniło jak jedwab, a ogon jak chorągiew podnosił wysoko; — zato szczurów wciąż ubywało, a te,

które jeszcze żyły, stały się bardzo skromne i nieśmiałe.

W jakiś czas potem kupiec wyprawiał za morza wielki okręt z towarami.

A był w tym domu zwyczaj, że kiedy właściciel wysyła swoje towary na sprzedaż, każdy z domowników ma prawo przy tej sposobności wysłać i coś od siebie, jako towar, który w korzystnym handlu z dzikimi ludami może mu przynieść korzyść.

Więc wszyscy domownicy dawali, co mogli: kolorowe paciorki, noże i nożyki, siekiery, barwne chustki, kaftany, pasy, lusterka, kubki — wszystko to mogło zostać zamienione na perły, kość słoniową, złoty piasek.

— A ty co dasz, Ryszardzie? — spytał kupiec chłopca.

Whittington nie posiadał nic, prócz kota. Miałże nic nie dać? Wstyd mu się zrobiło, nie chciał się okazać biedniejszym od innych i powiedział, że pośle kota.

Wybuch śmiechu był jedyną odpowiedzią, lecz pan Fitzwaren pomyślał spokojnie, pokiwał głową i rzekł dobrotliwie:

— Nie śmiejcie się, — i ten towar może znaleźć kupca i także przynieść korzyść.

Ale inni ruszali ramionami, a Ryszardowi na płacz się zbierało. Wstydził się coraz bardziej swojego postępuku, zdawało mu się, że jest niegodziwym zdrajcą, że sprzedał przyjaciela, który mu służył wiernie, że nie może już spojrzeć w oczy kota.

Biedne zwierzę zamknięto w klatce i zabrano na okręt, a Ryszard spać się położył, aby ukryć, co się z nim działo.

Lecz noc całą nie zmrużył oka. Ciągłe mu się zdawało, że popełnił jakiś występki, — że nie miał prawa oddawać kota, lub powinien sam z nim popłynąć.

Ledwo się rozwidniło, wymknął się z izdebki, aby pobiedz na okręt i kota odebrać, a może sam z nim zostać.

Nic nie wiedział, co zrobi, tylko nie mógł wytrzymać w domu, więc choć do portu było dość daleko, nie zawahał się ani chwili i biegł tak spiesźnie, jakby chciał dogonić uciekający statek.

Zmęczony wreszcie, usiadł na kamieniu i zaczął się zastanawiać:

— Poco idę? — myślał sobie. — Czyż naprawdę popłynąłbym tym okrętem w dalekie, obce kraje, między dzikich ludzi?

— A kota chciałeś posłać, — już posłałeś! — szepnęło mu coś w duszy.

— Biedny kot, — myślał znowu, — tak mnie lubił, — sypiał ze mną i nie odstępował mię prawie. Uwolnił mię od szczurów, był mi przyjacielem —

— Ale czyż mogę tak porzucić kupca, który był dobrym dla mnie, nie dał mi zginać z głodu, ani zostać żebrakiem? — On także mnie lubi.

— Możesz mu przecie służyć na jego własnym okręcie: — szkoda, żeś go nie prosił,

pozwoliłby ci chętnie popłynąć — nie byleś tak potrzebny w domu, obejda się łatwo bez ciebie.

— Więc mam jechać? Dlaczego?

Wtem uderzono w dzwony we wszystkich kościołach, ich głos wstrząsnął powietrzem i zdawał się płynąć, śpiewać i wołać jakieś tajemnicze słowa, i powtarzać je znowu, znowu.

Był to dzień świąteczny. Ryszard się przeżegnał i zadumany wsłuchał w tę dziwną muzykę, a po chwili wydało mu się, że najwyraźniej rozumie pieśń dzwonów:

Dyń-dyń, dyń-dyń, — Lon-dyn, Lon-dyn!
Whittington płynie, Whittington płynie!
Pan Lon-dynu, pan Lon-dynu,
Płynie, płynie. płynie, płynie!
Płyń, Whittingtonie! płyń, Whittingtonie, —
Panie Londynu! panie Londynu!
Płynie, płynie, płynie, płynie!
Whittington, Whittington,
Do Lon-dynu! Do Lon-dynu!

Chłopiec potrząsnął głową i zerwał się nagle z kamienia.

— Cóż mi za głupstwa dziś po głowie chodzą? — przemówił sam do siebie zawstydzony. — Pozwól mi, Boże, tylko uczciwie pracować, nie chcę żadnego państwa, ani panowania.

I ukląkł, podniósł oczy i westchnął głęboko, a z serca mu się rwała jakaś gorąca modlitwa, której sam nie rozumiał, czuł tylko, że jest dziękczynna i ufna.

Whittington płynie! Whittington płynie!
Do Lon-dynu! Do Lon-dynu!

śpiewały znowu dzwony najwyraźniej.

Ryszard pochylił głowę.

— A może to wola Twoja przemawia do mnie głosem tej dziwnej wróżby — szepnął. — Wszak bez Twojej wiedzy, Panie, nic się nie dzieje na świecie, więc skoro słyszę te słowa — skoro słyszę —

I nie kończąc zdania, ruszył w dalszą drogę.

Wkrótce stanął na statku. Powiedział kapitanowi, że jest w służbie u pana Fitzwaren i chciałby zostać na statku, na którym kot jego odpływa. — Gotów jest pełnić wszelkie posługi, obiecuje pracować szczerze.

Kapitan nie miał nic przeciwko temu, i wkrótce Ryszard znalazł swego kota, który rozpoczął już wesołą gospodarkę w składach żywności, gdzie się osiedliły szczury.

Nie będziemy opisywali tej podróży. Statki wówczas były żaglowe, zależały tylko od wiatru, więc droga trwała długo, burze były niebezpieczniejsze, cisza morska zatrzymywała nieraz po kilka tygodni okręt na jednym miejscu, a nieskończony, nieznany ocean był potężnym i groźnym wrogiem, wobec którego człowiek czuł się słabym i małym.

Parę lat upłynęło, podczas których załoga doświadczyła najdziwniejszych przygód, najgroźniejszych niebezpieczeństw, aż nakoniec ujrzeli zdala dawno upragnione wyspy, gdzie

najczęściej korzystnie wymieniali towar. Wyspy te zamieszkiwały dzikie, ale bardzo łagodne plemiona, które zawsze radośnie witały przybyszów, a wyroby europejskie wydawały im się skarbami, za które płacili chętnie złotym piaskiem, znajdującym się w ich kraju w obfitości.

Dlaczegoż jednak teraz nie spieszą na powitanie z zielonemi galeziami i okrzykami wesela? Zamiast tego stanęli tłumnie na wybrzeżu, zbrojni w długie dzidy, gotowi do walki.

Statek zarzucił kotwicę i czeka. Od wybrzeża odbija łódka, płynie w niej kilku dzikich. Zbliżyli się do statku, przemawiają grzecznie, lecz żądają stanowczo, aby się oddalił: — Król nie dzisiaj nie kupi i wcale kupować nie będzie; — nie chce żadnych towarów od Anglików, prosi tylko, ażeby sobie odpłynęli, bo nie chce z nimi walki.

— Co to znaczy? Dlaczego? — pyta zdumiony kapitan. — Rozstaliśmy się niegdyś jako przyjaciele, dlaczego nas tak przyjmujecie?

— Boście nam przywieźli zgubę, — nie chcemy nowej klęski.

— Co takiego?

Okazało się wreszcie, iż na jednym z angielskich okrętów przybyła wraz z towarami para szczurów, które niepostrzeżenie dostały się na ląd i rozmnożyły tutaj w tak okropny sposób, że niszczą wszelkie zasiewy na polu, i śmierć głodowa grozi nieszczęsnym mieszkańcom.

— Jeśli tak — rzekł kapitan — to mamy na statku ratunek na waszą klęskę. Może król zechce sam przybyć na okręt, aby się o tem przekonał.

Ujęty podarkami, zgodził się dziki monarcha i wkrótce z liczną świtą stanął na okręcie. Wówczas zaprowadzono go na spód statku, gdzie właśnie kot Ryszarda bawił się zwykłym polowaniem.

Na ten widok król stanął oniemiały, a następnie uszczęśliwiony, ofiarował za kota wszystko, czego właściciel zażąda.

— Nie sprzedam przyjaciela — odparł Ryszard, — choćbyś mi cały statek chciał zasypać złotem. — Popłynąłem sam w podróż, aby się z nim nie rozstawać, i nie rozłączymy się nigdy. — Ale gotów jestem udać się na wyspę w towarzystwie mojego kota, który wydusi tyle szczurów, ile ich na drodze spotka. Za każdego żądam tylko szczyptę złotego piasku.

Król przystał na to, i ruszono zaraz do brzegu. Znalazłszy się na lądzie, kot wpadł w doskonały humor, a miły mu zapach szczurów podniecał go widocznie. Trudnoby też opisać, co się działo na wyspie podczas tej krótkiej wizyty. Setki, tysiące szczurów leżało zduszonych, inne tak się pokryły, że ich znaleźć nie było można.

Król jeszcze raz próbował kupić kota, ale gdy Ryszard stanowczo odmówił, zamiast trudnego rachunku, bo niepodobna było po-

liczyć wszystkie uduszone szczury, ofiarował mu całą beczkę złotego piasku.

Kapitan obiecał znowu, że następnym razem przywiezie ładunek kotów, który wystarczy zupełnie, aby na zawsze zabezpieczyć wyspę od gospodarstwa nieproszonych gości.

Chcąc zachęcić żeglarzy do spełnienia tej obietnicy, mieszkańcy zakupili wszystkie towary z okrętu, placąc za nie prawdziwie po królewsku.

Skutkiem tego nie było pogo płynąć dalej. Obciążony statek skierował się znowu do Anglii, pragnąc jedynie szczęśliwie ukończyć długą i tak trudną podróż.

Tymczasem pan Fitzwaren niepokoił się o swój okręt i powątpiewał już, czy wróci kiedy. Tyle lat upłynęło! On sam się postarzał, Alicja wyrosła, o Ryszardzie zapomniano, nie mogąc w żaden sposób wytłumaczyć sobie nagłego zniknięcia chłopca.

Właśnie siedzieli wszyscy przy obiedzie, gdy dano znać, że statek znajduje się w porcie, a kapitan zbliża się z jakimś młodzieńcem.

Jednocześnie goście stanęli na progu.

Kupiec radośnie witał kapitana, lecz pytając spojrział na jego towarzysza. Nie poznał Whittingtona, i co prawda, nie mógł go poznać. Pamiętał sierotę o smutnej, bladej twarzy, szczupłego niedorostka, — przed nim stał młodzieniec o twarzy ogorzalej, wesółem spojrzeniu, wysoki i barczysty, którego

ruch każdy okazywał siłę i zręczność, nabytą w walce z potężnym, zdradzieckim żywiołem.

— Czyż pan mię nie poznaje? — spytał wreszcie Ryszard, a gdy się wyjaśniło, kim jest nieznajomy, rozpoczęły się powitania, i okrzyki, którym nie było końca.

— Wracasz pan, widzę, zamożnym człowiekiem — odezwał się Fitzwaren, ochłonawszy z pierwszego zadziwienia — widocznie powiódł się i panu handel?

— Handel mi się powiódł — odparł gość z uśmiechem, — ale pragnąłbym zostać dla pana Ryszardem, jak byłem niegdyś, jako biedny chłopiec, niech mi pan tego dzisiaj nie odmawia.

Wtem czterech silnych marynarzy wsunęło do pokoju rodzaj wózka na niskich kółkach, na którym stała beczka, pełna złotego piasku.

— To mój zarobek — rzekł Ryszard wesoło — będę mógł teraz spłacić stare długi.

— Ależ, mój chłopcze! — zawołał kupiec ze zdumieniem — jesteś bogaczem, — jam przy tobie dzisiaj ubogi.

— To wszystko jest własnością pana — rzekł Ryszard wzruszonym głosem — przecież gdyby nie twoja dobroć, możebym umarł z głodu, albo został żebrakiem. — Szczęśliwy jestem, że mogę ci coś oddać, choć czuję, że jeszcze przez to nie wypłacę długu.

— Moje dziecko, mój synu — mówił wzruszony kupiec, — ja tego nie mogę przyjąć,

to byłoby nieuczciwie z mojej strony. Miło mi, że znalazłem wdzięczność w twojem sercu, ale zapłaty nie chcę, — nie mów o tem więcej! — Zresztą — kot twoją był przecież własnością.

— Nabyłem go za pieniądze, otrzymane od panny Alicji, więc wszystko pochodzi od was.

Alicja zarumieniła się na te słowa, jak róża, ale odparła zaraz:

— Niech mi pan nie przypomina, że byłam tak niemądrem dzieckiem, — pan narażałeś życie dla mego kaprysu, bo mogłeś spaść i zabić się na miejscu, a ja za tę przysługę, za tę dobroć, za — za —

Nie umiała dokończyć i umilkła, zmieszana i wzruszona, a Ryszard milczał także z uśmiechem na twarzy i radością w spojrzeniu.

— Więc — odezwał się wreszcie — jeśli pan nie chce przyjąć tego złota, niech należy do nas obu, jako wspólna własność, — na początek zaś proszę pana o pozwolenie użycia jednej części na podarki dla starych znajomych i przyjaciół.

Rozumie się, że kupiec zgodził się najchętniej, i teraz dopiero zapanowała radość w całym domu: Ryszard hojnie obdarzył wszystkich, nawet gderliwą kucharkę, która chciała go oblać ukropem. To też wszyscy byli mu wdzięczni, wszyscy podziwiali jego dobre serce i błogosławili godzinę, w której wszedł do tego domu.

Nazywano go teraz panem Whittingtonem,

i taką okazywano życzliwość i uszanowanie, że kota nawet rozpieszczono w krótkim czasie do tego stopnia, iż przestał zwiedzać strychy, piwnice i dziury, gdzie niegdyś tak wesołe urządzał sobie polowania, spoważniał, ocieżał trochę, zaczął dużo rozmyślać o przeszłości, rozpamiętywać przygody na morzu, zasługi, jakie położył w swem życiu, i przyszedł — jak się zdaje — do tego przekonania, że należy mu się na starość odpoczynek w czystych pokojach, na wygodnych meblach, smaczne kaski z talerza i pieszczoty panny Alicji.

Panna Alicja pieściła go też tak często, że obudziła zazdrość w sercu ulubionej papugi, i kto wie, jakie skutki mogłyby z tego wyniknąć, gdyby Ryszard ze swojej strony nie starał się wynagrodzić papudze tego zaniedbania.

Tak szczęśliwie płynęły lata. Pan Fitz-waren posiwał na koniec zupełnie, i wtedy przyszło mu na myśl, że najlepszem zakończeniem całej tej historii będzie małżeństwo Alicji z Ryszardem.

Żeby tylko zechcieli!

Natychmiast wezwał oboje do siebie i przemówił w te słowa:

— Kochana Alicjo i ty, mój synu, szlachetny Ryszardzie. Widzicie, że jestem stary, więc nie odmawiajcie mi ostatniej pociechy w życiu: mam ochotę wyprawić wam wesele, a nie mogę bez waszej zgody. Czy macie co przeciwko temu?

— Ach, mój ojcze! — rzekła Alicja i rzuciła mu się na szyję, bo nie chciała odmawiać ojcu ostatniej w życiu pociechy.

Ryszard był uszczęśliwiony.

Wesele odbyło się z wielką wspaniałością; podczas uczty kot ciągle przypominał o sobie państwu młodym, tak, że musieli wkońcu umieścić go pomiędzy sobą i częstować najlepszymi przysmaczkami. Tylko cukrowa kolacja wcale mu nie smakowała, — zawsze się dziwił, że ludzie jadają pokarmy tak twarde i bez zapachu, a dziś osądził stanowczo, że nie mają dobrego smaku.

Przy pilnej pracy majątek Ryszarda powiększał się bezustannie, a jednocześnie rosła między ludźmi sława jego sprawiedliwości i dobroci. Z początku domownicy, a potem sąsiedzi przychodzili do niego, aby rozsądzał ich spory, nakoniec całe miasto powtarzało zgodnie, że niema mądrzejszego sędziego na świecie. Jego kary były sprawiedliwe a łagodne, pokrzywdzonym umiał zawsze wynagrodzić krzywdę.

Gdy przyszło do obioru sędziego czyli szeryfa Londynu, jednogłośnie obrano Whittingtona, i odtąd miał sposobność jeszcze więcej czynić dobrego.

Nieraz opowiadał żonie o niedoli swego dzieciństwa, i mówił, że dlatego mu Bóg dał majątek, aby go użył na ratunek bliźnich, którzy, jak on, niewinnie cierpią nędzę.

Nikt też nie odchodził od niego bez

wsparcia, bez pomocy i dobrej rady; — biedacy nazywali go ojcem ubogich, opiekunem sierot, źli ludzie nawet szanować go musieli, a niejeden zawstydzony, poszedł za jego przykładem i zaczął czynić dobrze, ile było w jego mocy.

Nic też dziwnego, że w bardzo krótkim czasie zrobiono go prezydentem czyli rządcą miasta Londynu. Jest to wysoka godność, świadcząca, jak powszechnie ceniono zacnego człowieka.

Gdy uderzono w dzwony, aby zwiastowały miastu rozpoczęcie uroczystości, jaką jest dla Londynu zawsze ważna chwila objęcia władzy przez nowego pana, Ryszard przypomniał sobie ów tajemniczy śpiew dzwonów, który słyszał przed laty, będąc ubogim chłopcem, kiedy miał zamiar puścić się w nieznane kraje. Więc pieśń mówiła prawdę?

I znów zdawało mu się, że słyszy te słowa, powtarzane bez końca i bez końca:

Whittington płynie! Whittington płynie!
Pan Lon-dynu! pan Lon-dynu!

Teraz słuchał tych dźwięków, siedząc w zlocistej karecie, zaprzężonej w sześć białych koni, które wśród tłumu ludzi, okrzyków wesela i dźwięków wojskowej muzyki posuwały się zwolna przez stare ulice Londynu, wioząc go do pałacu prezydenta.

Kot leżał mu na kolanach i mruczał, też zadowolony.

Niestety, zdechl w parę lat potem ze starości! — ale został wypchany na pamiątkę i umieszczony pod kloszem w gabinecie swego pana.

Sprawując tę wysoką godność, Ryszard Whittington zawsze był sprawiedliwy i hojny. Dla ubogich zakładał przytulki, starał się każdemu ułatwić dostęp do siebie i nigdy nie odmawiał żadnej prośbie, której mógł zadość uczynić,

Lud uwielbiał go za to i śpiewał o nim pieśni.

Kiedy król Henryk V potrzebował pieniędzy, powracając z wojny do swego królestwa, Ryszard Whittington, jako najpierwszy dygnitarz Londynu, przyjmował go uroczyście, dostarczył potrzebnych funduszków do skarbu, a kwit królewski wobec całego dworu rzucił w ogień, mówiąc:

— Król ani ojczyzna nie mogą być moimi dłużnikami.

Oboje z Alicją dożyli sędziwego wieku, a dzieci ich, na pamiątkę dziwnych przygód ojca, wymalowały kota na swym rycerskim znaku czyli herbie.

Takie więc ma znaczenie płaskorzeźba nad więzienną bramą w Londynie.



BIBLIOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

	kop.	hal.
40. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Janko Cmentarnik	6	— 16
41. Gawalewicz M. Królowa niebios. Legendy o M. B.	10	— 26
42. Morawska Z. Koronacja Zygmunta Augusta	6	— 16
43. Lenartowicz T. Wybór poezji	8	— 20
44. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Wybór poezji	10	— 26
45. Hoffmanowa Klem. Wybór powiastek	8	— 20
46. — Dziennik Franciszki Krasińskiej	20	— 50
47. — Listy Elżbiety Rzeczyckiej	15	— 40
48. Chrzęszczewska Jadwiga. Upał. — Sosna	6	— 16
49. Krakowowa Paulina. Wybór powiastek	6	— 16
50. Andersen H. Kwiaty Idalki	5	— 13
51. Andersen H. Coś. — Len	6	— 16
52. — Cień — Śpiewak z pod strzechy	6	— 16
53. Amicis E. Na tonącym okręcie. — W szpitalu	6	— 16
54. — Od Apeninów do Andów	8	— 20
55. Kipling R. Kot, który chodził własnymi drogami. — Sloniątko	6	— 16
56. — Ankus królewski	6	— 16
57. Kipling R. Toomai od sloni	6	— 16
58. Asnyk A. Wybór poezji	8	— 20
59. Ujejski K. Wybór poezji	8	— 20
60. Anczyc Wł. L. Daleka podróż dwóch piesków po- kojowych	5	— 13
61. — Świerszcz. — Błędne ogniki	5	— 13
62. — Rozbitki na wyspie Jan Mayen	6	— 16
63. Zaleska M. J. Cztery przadki. — Robotnicy P. Ja- koba	6	— 16
64. — Gwiazdka. — Najlepsza zabawa	5	— 13
65. — Wiewiórka. — Pogrzeb szczura	5	— 13
66. Teresa Jadwiga. Stacho	10	— 26
67. — Pogrzeb ostatniego Jagiellona. — Elekcyja	6	— 16
68. Sienkiewicz H. Pod Grunwaldem. (Ustęp z Krzy- żaków)	8	— 20
69. — Zdobycie Kamieńca. (Ustęp z Pana Woło- dyjowskiego)	6	— 16
70. Niewiadomska C. Z życia Mickiewicza	6	— 16
71. — Dotrzymuj słowa. — Koledzy. — Samolub	6	— 16
72. — Noc sierpniowa	6	— 16
73. Daudet A. Napad szarańczy	6	— 16
74. Andersen H. Królowa śniegu	8	— 20
75. — Matka. — Anioł. — Sosna	6	— 16
76. Zaleska M. J. Wesele zięby	6	— 16
77. Zaleski Józef Bohdan. Wybór poezji	12	— 32

BIBLIOTECZKA M

	kop.	nał.
78. Pol Wincenty. Pieśń o ziemi naszej	10	— 26
79. Wasilewski Edmund. Wybór poezji	6	— 16
80. Sienkiewicz H. Jurand ze Spychowa. (z Krzyżaków)	15	— 40
81. Demolder E. Kwaciareczka	6	— 16
82. — Mała służąca	8	— 20
83. — Sąsiedzi	6	— 16
84. Pape-Carpantier M. Historia siwka. — Dwa koty	6	— 16
85. Szymanowski W. Jan Gutenberg	6	— 16
86. — Lew Canovy. — Salvator Rosa	8	— 20
87. — Gustaw Waza	6	— 16
88. — Anna księżniczka Bretanii	8	— 20
89. Rogalski L. Młodość Sobieskich	6	— 16
90. Amicis E. Mali niewidomi	6	— 16
91. Kipling R. Kaa na polowaniu	8	— 20
92. Andersen H. Dziecię Elfów. — Polny kwiatek	6	— 16
93. Zaleska M. J. Bajeczki babuni	6	— 16
94. Anczyc Wł. L. Motyl i gąsienica	6	— 16
95. Sienkiewicz H. Łowy w puszczy	6	— 16
96. Zmorski R. Wieża siedmiu wódzów	6	— 16
97. Bukowiecka Z. Kazimierz Wielki	8	— 20
98. — Nasi praojcowie	6	— 16
99. Dyakowski B. O świstaku	8	— 20
100. — Z życia termitów	6	— 16
101. Hoffmanowa K. Cztery powiastki	8	— 20
102. Niewiadomska Cl. Legendy, podania i obrazki hist. I. Czasy przedchrześcijańskie	6	— 16
103. — II. Chrobry.	6	— 16
104. — III. Bolesław Śmiały, Krzywousty i jego synowie.	6	— 16
105. — IV. Leszek Biały. — Bolesław Wstydlawy.	6	— 16
106. — V. Łokietek. — Kazimierz Wielki.	8	— 20
107. Dickens H. Wigilia Bożego narodzenia.	12	— 32
108. — Ryszard Whittington i jego kot.	6	— 16
109. Dynowska M. Wybór wierszyków.	8	— 20
110. Lenartowska E. Czyżyk. — Król gościem u Węglarza	6	— 16
111. Zmorski R. Baśń o sobotniej górze.	6	— 16
112. Anczyc Wł. L. Bitwa pod Grunwaldem. — Śmierć Warnieńczyka. — Stefan Czarniecki.	6	— 16
113. Baśnie norweskie.	—	— —
114. Rosny 20,000 lat temu.	—	— —
115. Lagerlöf Selma. Legendy o Chrystusie. — Noc Bożego Narodzenia. — Dziecię z Betleem.	—	— —
116. Bogusławska M. Trzy powiastki: Młody Juchas. — Przestępstwo Władka. — Krzyż Babuni.	—	— —